

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO

na tle ostatnich rozgłośnych wypadków
w Królestwie Polskiem.

9

ciąg dalszy.

— Balu... a możeby odłożyć, a raczej zaniechać planu.

— Co to, to nie — zasyczał niemal — zgine, to zgine, a z próżnemi rękami nie wrócę do Warszawy. Nam potrzeba dużo, bardzo dużo pieniędzy... liczą na mnie.

— A więc spróbujemy... ale odradzam ci wpłaty do tej sprawy... twej siostry.

Bał spojrział trochę zdziwiony:

— Ona ma już wyznaczoną rolę, nikt nie może jej zastąpić.

Kola nachmurzył się i rzekł z ironią:

— Dlaczegoż ona ma być Elsinoe?

— Mylisz się Kola... Nie jestem Irydionem, a ona Elsinoe... to zwykła służba dla idei mojego kraju.

— Niech będzie i tak — westchnął.

Obiad u Żegielskich był bardzo wesoły dzięki opowiadaniom Koli i Władysława o ich przygodach w mieście, o zabawie u Szaji i dzisiejszem śniadaniu.

Pani Stefcia tryumfowała że licytacja Landwerowa nie przyjdzie do skutku, a jej mąż powołując się na odebranie paszportów dowodził, iż w obec takiej czujności władz ruch rewolucyjny zostanie zgnieciony w bardzo krótkim czasie.

Po obiedzie gdy młodzi zostali na chwilę sami spytała Wanda niecierpliwie:

— Władziu, pamiętasz o twej obietnicy?

Skinął głową w odpowiedzi.

— Czy twój pokój zawsze w lewym skrzydle?

— Nie... śpię w gabinecie przy salonie.

— To bardzo dobrze... Mówiłeś, że masz tu wiernego stangreta, czy dałby ci konie na żądanie?

— Może... ale nigdy nie żądałam jeszcze.

— Więc idź i zapytaj czy da ci konie dziś wieczorem do miasta bez wiedzy Żegielskiego.

Już Wanda wstała, gdy Kola zawołał:

— Zaczekaj pani... Zważ Balu, że nawet Wasyl Wasyliwicz pochwyci ślad sprawców. Stangret będzie czekał na konie, ktoś go zobaczy, stróż posłysz, pan Żegielski zacznie dochodzić... i sprawa wykryta.

— Tak, masz słuszość... jesteś w tym razie bardzo przewidujący... Cóż radzisz robić?

— Nie wiem... to zależy od roli pani — spojrział porozumiewawczo na Bala.

— Czekać z końmi przed budynkiem ci znany.

— Więc... więc... kup parę koni z wozem.

— To dobry plan, ale kupić?... kupić?... za mało mam — wyjął pugilares i liczył — razem sto pięćdziesiąt, a czeka mnie gra i ugoszczenie... nie, nie mogę kupić.

— Mam pięćdziesiąt, bierz — wyjmował Kola pieniądze.

Właśnie nadszedł Żegielski i zdziwiony zapytał:

— Cóż to za handle urządzacie?

Zanim zdążyli odpowiedzieć rzekła Wanda:

— Władziowi zabrakło pieniędzy, a pan Czernejew ofiarował się z pożyczką.

— A, tego się niespodziewałem — oburzył się szczerze — więc mi nie ufasz? traktujesz jak obcego... Teraz musisz wziąć... ile ci potrzeba?

— Dwieście rubli, z Warszawy odeszł ci na tychmiast... a nie mówiłem ci o pożyczce, bo dopiero przed chwilą naradziłem się z Kola w pewnym interesie.

— Możesz mi powiedzieć?

— Jeden z naszych przyjaciół potrzebuje drzewa budulcowego i właśnie dziś otrzymałem dobrą ofertę.

— Czy pewną?

— Towar gotowy... idzie o zadatkowanie.

— Przyniosę ci zatem pieniądze — i mówiąc to wyszedł z pokoju.

— Zatem słuchaj Wandziu... O godzinie dziewiątej wyjdiesz niepostrzeżenie przez salon do domu... Na drodze do miasteczka spotkasz wóz czy bryczkę z końmi... Michał będzie powoził, ten którego ukryłaś...

— Wiem, coż dalej? — spytała z błyszczącymi oczyma.

— Wsiądziesz i zatrzymasz konie opodal koszar strażników... wiesz, przy tej karczmie niskiej... o dziesiątej będę sam po ciebie, albo przyszlę kogoś... To, co otrzymasz odemnie, zawieziesz do siebie, a dwóch towarzyszących ci robotników odjedzie z końmi w inną stronę.

— To wszystko? — spytała z pewnem rozczarowaniem.

— Wypełnij tylko dobrze — uśmiechnął się.

— A przedewszystkiem bądź pani ostrożną... rzecz pachnie śmiercią lub katorgą... i tajemnica najściślej.

— Więc to naprawdę coś poważnego? — zaświeciły się jej oczy.

— Nawet bardzo niebezpiecznego — rzekł Kola z powagą.

— No nareszcie! — uśmiechnęła się uradowana.

— Proszę cię Wandziu, uprzedź Michała, aby czekał na nas na drodze do miasteczka.

Żegielski wrócił i wręczył pieniądze.

— Dziękuję ci — schował i spojrzawszy na zegarek: dodał — prosiłbym cię o konie, już piąta dochodzi.

— Masz czasu dosyć, przecież na ósmą zaprosiłeś naczelnika.

— Tak, lecz przedtem mam do załatwienia to i owo, a jutro muszę być w Warszawie.

— Kiedyż przysłać konie po was?

— Kiedy?... jak sądzisz Kola, chyba o dziewiątej wstaniemy?... więc przyszliz na dziesiątą.

Jadąc z powrotem spotkali na drodze Michała, który z uśmiechem radości powitał Bala i wsiadł na kozioł obok stangreta.

Miasteczko rozłożyło się w dolinie, przez którą przepływała rzeka, błyszcząca w promieniach południowego słońca. Miasto było ciche, senne, otoczone domkami i dworkami, których białe ściany przeświecały pomiędzy drzewami. Wieże kościoła lśniły w słońcu, a w dole ciągnęły się szare dachy skupionych domostw. Melancholia równin i cichej jesieni z roślinnością zamierającą, udzieliła się i patrzącym.

Milczeli, a oczy ich wypatrywały uparczywie budynku kasy skarbowej, który miał być niemył świadkiem przygód dzisiejszej nocy. Zdawało się im, że odczytują z niego zsgadkę przyszłości, która ich w tej chwili pochłaniała. Dom ten, wśród drzew, okrytych barwnymi, jesiennymi liśćmi, miał wygląd posępny, szyby okien miały w słońcu odbłaski krwawe, a jedynym człowiekiem, rysującym się ciemną sylwetą na białej ścianie był żołnierz uzbrojony w karabin, którego lufa i karabin błyszczwały srebrnawo.

Bala opadły wątpliwości w pomyślny koniec wyprawy i spojrzął w oczy przyjaciela, szukając u niego otuchy, lecz zamiast niej dojrzał wielki smutek w czarnych oczach. Bał, chcąc odepchnąć gnębiące go myśli, uśmiechnął się z przymusem:

— Boisz się? — spytał cicho.

— Nie o siebie — mruknął Kola po chwili — a gdzie ta karczma?

— Dojeżdżamy — wskazał na zaniedbany, brudny dom ze sztyldem, na którym malarz usiłował przedstawić wielki kufel z pieniącem się piwem.

Przed karczmą stał wózek zaprzężony w zmęczoną szkapę, która zmrużywszy oczy patrzyła obojętnie na grzebiące kury.

Drzwi otworzyły się i na progu karczmy stanął strażnik ziemski. Ręką przysłonił oczy od promieni słońca i bacznie patrzył na jadących; poznawszy jednak konie i powóz, salutował uprzejmie.

— Zły znak — szepnął Kola i w myśli widział Wandę schwytaną ze złotem, skrepowaną, bitą batami, zniesławioną...

I tak bardzo przejął się tym obrazem, że postanowił skłonić Bala, aby misję Wandy powierzył jemu. Zanim powiedział, spojrzął na towarzysza. Zaciśnięte usta, dwie głębokie prostopadłe zmarszczki między oczyma patrzącymi surowo, zniechęciły go do rozmowy, postanowił więc czekać sposobniejszej chwili.

Już wjeżdżali w miasto, gdy Bał zawołał na stangreta:

— Stój... pójdziemy pieszo, a ty wracaj do domu.

Szli w milczeniu ulicą zalaną słońcem zachodzącym, pełną kurzu i śmieci, wyrzucanych z przyległych domów. Bał dojrawszy blaszane talerzyki golarza, rzekł:

— Towarzyszu Michale, idźcie do golarza, niech was ogoli, ostrzyże, oczyścicie ubranie

i przyjdźcie do zajazdu bocznymi uliczkami.

Szli dalej w milczeniu.

— Kola... to koszary strażników.

Spojrzeli badawczo na długi dom parterowy. Przez otwarte okna dojrzeli strażników w izbie. Jedni leżeli na tapczanach, inni czyścili broń, a któryś z nich nucił ochryplym głosem pieśń żołnierską.

— Ach ten Dymitrow — szepnął Bał.

I w tej chwili wychyliła się z okna twarz strażnika, surowa, z wąsami sterczącymi, z małemi bokobrodami, a wąskie przenikliwe oczy patrzyły badawczo. Na epoletach i rękawach widniały naszywki złote.

— Może to i on — rzekł z cicha Kola — ma odznaki starszego.

— A gdyby z nim pogadać — szepnął Bał.

— Zwaryowałeś! W koszarach?!

Bał zwrócił się ku oknu i przemówił po rosyjsku:

— Czy nie byłby pan tak dobry i wskazał mi mieszkanie naczelnika straży ziemskiej?

— A wam na co? — spojrzął podejrzliwie.

— Chciałbym mu złożyć wizytę.

— Wy? — patrzył bacznie w oczy.

— Wasyl Wasyliwicz Pietuszok mój dobry znajomy i chciałbym się upewnić, czy będzie z nami na kolacyi dzisiejszej.

Gdy strażnik posłyszał nazwisko przełożonego, z dodatkiem znajomości, starał się nadać swej twarzy wyraz uprzejmości i rzekł.

— Mieszkanie pokażę... ale upewniam, że nie będzie z dzisiejszej kolacyi.

— Dlatego chcę zapytać, bo obiecał nam, że przyjdzie.

— Nu, idę do miasta, to pokazać mogę, zaczekajcie chwilę — i odszedł od okna.

— Kola — szepnął Bał — oblicz odległość koszar do kasy.

— Czy jednak pójdziemy do niej — i wskazał na dalszą ulicę boczną, przy której wznosił się budynek kasy, zasłonięty na razie innymi domami.

— Zdaje mi się, że słyszałem, iż on mieszka w okolicy kasy.

Wyszedł strażnik i wraz z nim szli w kierunku rynku. Bał spytał ze współczuciem, czy służba jest ciężka, czy odpoczynki są częste?

— Nie daj Boże, jak ciężko, — westchnął strażnik — dawniej było łatwiej, ale od kiedy nastali rewolucyoniści, to ni dnia, ni nocy spokojnej.

— Ej, chyba w tym powiecie nie ma rewolucyi.

— Jeszczeby też, my tutaj to spokojnie, ale trafi się przejezdny czasem, oj pasy z nich drzeć, wieszać, aby raz był już spokój.

— A pan dawno był na objeździe?

— Wczoraj wrócił człowiek stłuczony, zmordowany... a tu w nocy budzą do służby.

— Za to dzisiaj pan odpocznie.

— Czort z odpoczynkiem — splunął gniewnie — i dziś służba.

— To naprawdę męka, czyż niema nikogo na zmianę?

— Ii, prosty strażnik chrapie i śpi, ale taki jak ja, odpowiada za wszystko, gdzie tylko ciężko, to musi iść Dymitrow.

Balowi zaświeciły się oczy potraktował Dymitrowa papierosami:

— No, no, nie wiedziałem, że taka męcząca służba... ale chyba w nocy trwa godzinę najwyżej...

— Tak sądzicie — śmiał się — ot, dziś na ten przykład, dobrze będzie, jeśli nad ranem zasną...

Strażnik wskazał dom i odprowadziwszy ich do furtki od ulicy wskazał:

— Tu mieszka pan naczelnik... wola wasza, ale że nie pójdzie z wami, o tem wiem dobrze.

Bał z Kola weszli do domu, pozorując swe przyściecie chęcią złożenia wizyty. Naczelnik obiecał powtórnie, że będzie na kartach, był bardzo uprzejmy i dowiedział się mimochodem od Koli, że jakiś strażnik wskazał im jego mieszkanie.

Na ulicy rzekł Bał:

— Za dwadzieścia szóstą, może nie zdążę zobaczyć się z Marcelem, więc pójdź ty. Znajdziesz go przy kościele, dowiesz się szczegółów i powiesz, że nie Saleckij jest na odwachu, lecz Martynow, niech on zawiadomi Młotą.

— Dobrze... czy znajdę cię w zajeździe?

— Będę później, teraz idę po konie.

Po rozstaniu Bał wyjął notes i poszukał towarzyszy danyh mu w Warszawie przez Nestberga